

Zabójstwo Gabriela Narutowicza z dzisiejszej perspektywy

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia i byłoby znacznie miłej pisać wyłącznie o sprawach przyjemnych, w zgodzie z nastrojem świątecznym. Ale data w kalendarzu nie pozwala milczeć o tym, co wydarzyło się w Warszawie 16 grudnia 1922 r., ponieważ trudno uwolnić się od skojarzeń z tym, co obserwuje się w dzisiejszej Polsce.

Tegoż dnia elita zebrała się w warszawskiej Zachęcie na otwarciu najnowszej wystawy malarskiej. W wydarzeniu kulturalnym uczestniczyło wielu członków najwyższych władz Polski. W pewnej chwili, kiedy grupka notabli zatrzymała się przed obrazem Teodora Ziomka „Krajobraz zimowy”, w tłumie zwiedzających padł strzał. Kiedy uchyły krzyki przerażonych i ludzie rozstąpili się, by zrobić miejsce, na podłodze leżał bez życia pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Gabriel Narutowicz. Zdażył piastować swój urząd przez niecały tydzień.

Jak doszło do tej tragedii? Cofnijmy się w czasie do 9 grudnia tegoż roku. Sejm zebrał się, by dokonać wyboru pierwszego prezydenta narodu, który po pierwszej wojnie światowej odrodził się i zaistniał na mapie Europy po 123 latach zaborów. Według tymczasowej konstytucji kadencja prezydenta miała trwać siedem lat.

Żadna z istniejących partii politycznych

nie dysponowała wyraźną większością nad innymi. Umiarkowane skrzydło Wyzwolenie w koalicji z Partią Chłopską Wincentego Witosa wystawiło kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego. Zwolennicy prawicy, pod wodzą Narodowych Demokratów, chcieli nominować Romana Dmowskiego, któremu z jednej strony nie można odmówić zasług dla polskiej sprawy poprzez wpływ na zwycięską ententę, by uznać istnienie Polski i jej dostęp do morza, z drugiej zaś czołowego antysemitę upatrującego w Żydach największego zagrożenia dla Polski i Polaków. Dmowski jednak nominacji nie przyjął. W tej sytuacji skrajna prawica poparła hr. Maurycyego Zamoyskiego, bogatego magnata i fanatycznego rzecznika sprawy endecji. W odpowiedzi lewica zareagowała, popierając kandydaturę równie fanatycznego liberała, Polaka o dźwięcznym nazwisku francuskim, Jana Baudouina de Courtenay. Jak można się było spodziewać, posłowie reprezentujący wszystkie mniejszości narodowe przyjęli tę kandydaturę owacjami. Była to jednak bardziej demonstracja niż poważna nominacja,

ponieważ było oczywiste, że człowiek o tak postępowych jak na tamte czasy poglądach nie miał najmniejszych szans na wybranie. Kiedy w kolejnych turach głosowania i ponownego liczenia głosów stało się jasne, że Wojciechowski nie jest w stanie otrzymać dostatecznej większości, grupa Wyzwolenie, związana z marszałkiem Józefem Piłsudskim, w chęci zablokowania wyboru

eleganckich. Podsycając histerię antyżydowską, która w pewnych kręgach miała podatny i mocno zakorzeniony grunt, skrajna prawica koncentrowała się teraz na zablokowaniu zaprzysiężenia nowego prezydenta. Jeden z prawicowych posłów, sam będąc duchownym katolickim, usiłował dowodzić, że wybór był nieważny, ponieważ prezydent Polski, według niego mógł być legalnie wybrany



22 XII 1922 – złożenie trumny z ciałem Gabriela Narutowicza w krypcie archikatedry św. Jana w Warszawie Fot. Marjan Fuks/Forum

Zamoyskiego zdecydowała się wystawić kandydaturę całkowicie nową, do tej chwili niebraną pod uwagę. Tym nowym człowiekiem był Gabriel Narutowicz, minister spraw zagranicznych.

Z zawodu inżynier, repatriant ze Szwajcarii, Narutowicz był człowiekiem politycznie umiarkowanym i cieszył się szacunkiem wszystkich jako człowiek o nieposzlakowanym charakterze. Ponadto był do zaakceptowania zarówno przez Blok Centrowy, jak i przez lewicę oraz przedstawicieli mniejszości narodowych. Hrabia Zamoyski, nie spodziewając się wystawienia żadnej nowej kandydatury, był prawie pewny swojej przewagi nad Wojciechowskim. Jednak gdy pojawił się nowy kontrkandydat i gdy po szóstej rundzie głosowania policzono kartki, okazało się, że na Gabriela Narutowicza zagłosowało 289 posłów, zaś na Zamoyskiego tylko 227.

Rozczarowani i wściekli posłowie endecji natychmiast rozpoczęli kampanię oczerniania zwycięzcy, nie stroniąc od najpodlejszych słów i działań. Ponieważ Narutowicz miał w głosowaniu poparcie przedstawicieli mniejszości narodowych, decydujące o jego zwycięstwie, prasa związana z Narodową Demokracją zajęła się obrzucaniem prezydenta elektą wyzwiskami, wśród których „żydowski lokaj” i „zdrajca” należały do tych bardziej

tylko głosami etnicznych Polaków. Poseł Stanisław Głabiński nawet posunął się do formalnego zażądania, by nowy prezydent ustąpił i by rozpisać nowe wybory, w których mogliby głosować wyłącznie posłowie będący etnicznymi Polakami. Było to żądanie bezczelne, ale i naiwne. Bezczelne, ponieważ przedstawiciele mniejszości, czyli Żydów, Ukraińców i Niemców, byli posłami na polski Sejm, obywatelami polskimi, a więc mieli takie same prawa jak każdy inny poseł. Naiwne, ponieważ w tamtych czasach nikomu jednak nie przychodziło do głowy uchwalanie nocami jakichś ekspresowych ustaw sprzecznych z konstytucją, aby ją nagiać i w ten sposób odwrócić wynik głosowania, a zdecydowana większość posłów uznawała i podtrzymywała praworządność, a więc zaakceptowała wybór.

W dniu 11 grudnia, w drodze z Belwederu do Sejmu na uroczystość zaprzysiężenia, prezydencka karetka została obrzucona śniegiem i błotem przez chuliganów związanych z endecją. Prawicowi studenci tłumnie udali się pod dom gen. Józefa Hallera, którego sympatyzowanie z Narodową Demokracją było powszechnie znane. Generał z balkonu wygłosił przemówienie, którego fragment cytuję za D. Pacyńską:

„W dniu dzisiejszym Polskę, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, iż oburzenie narodu, którego jesteście rzecznikiem, rośnie i przybiera jak fala”. Zebrani nagrodzili gen. Hallera wiałami, a on z kolei pochwalił tłum skandujący hasła przeciwko Narutowiczowi.

Władze jednak nie dopuściły do tego, by sztucznie prowokowana ulica dyktowała bezprawie, i ceremonia zaprzysiężenia odbyła się – co prawda w iście grobowej atmosferze i bez obecności wielu posłów, których uliczne bojówki łapały i uniemożliwiały im dojście do Sejmu.

W sobotę 16 grudnia prezydent, po kurtuazyjnej wizycie w rezydencji kardynała Kakowskiego, prymasa Polski, dotarł do Zachęty. Podczas oglądania wystawy został zamordowany. Zamołowca ujęto natychmiast. Nie stawiał oporu. Okazało się, że był nim Eligiusz Niewiadomski, malarz, historyk sztuki i fanatyczny antysemita. Jak zeznał podczas procesu, nie miał on żadnych osobistych pretensji do Gabriela Narutowicza, nawet uważał go za człowieka prawnego i przyzwoitego, ale widział w nim „symbol zdrady Polski”. Nie potrafił się pogodzić z faktem, że polski prezydent został wybrany z poparciem głosów żydowskich. Niewiadomskiego skazano na śmierć i wyrok wykonano. Narodowi Demokraci usiłowali pośmiertnie kreować go na męczennika za sprawę i bohatera narodowego.

Po tym tragicznym wydarzeniu w Polsce wojna domowa wisiła na włosku, ponieważ wielu krewkich piłsudczyków, jak również robotników związanych z Polską Partią Socjalistyczną rwała się do odwetu na endecji. Polacy byli podzieleni. Na szczęście do poważniejszych aktów przemocy nie doszło. Ale idea nienawiści tzw. narodowców do Żydów przetrwała w postaci m.in. gett ławkowych na uczelniach.

Zabójstwo Gabriela Narutowicza w początkach odzyskanej państwowości nie przyniosło Polsce chwały ani też nie dało jakichkolwiek korzyści. Pokazało, jak łatwo retoryka szczucia i nienawiści potrafi przerodzić się w tragiczny czyn.

Każdy nacjonalizm,

każda demagogia, żeby scalić poparcie dla siebie, potrzebuje wroga. Dziesięć lat później w kraju zachodniego sąsiada Hitler wskazał Niemcom Żyda jako wroga i po dojściu do władzy zatrudnił cały aparat państwowy do uprawiania rasistowskiej propagandy nienawiści. Słowa szybko zamieniły się w czyny na skalę masową. Czym to się skończyło dla świata, wiemy wszyscy, tyle że zanim zło wyteplono, w wyniku rozpętanej wojny zginęły miliony ludzi – na polu walki lub zamordowani. Po jej zakończeniu i po ujawnieniu przed światem zbrodni Holocaustu w znakomitej większości krajów świata przyjęto

za coś oczywistego, że antysemityzm jest moralnie naganny i przyzwoitemu człowiekowi nie przystoi obrażanie Żydów z tytułu bycia Żydami ani przypisywanie tej nacji jakichkolwiek specyficznych win. Po drugiej wojnie światowej ci antysemitki, którzy nadal istnieli i nie zmienili poglądów, raczej nie afiszowali się ze swoimi enuncjacjami. Kiedy w Polsce w 1968 r. rozpętało haniebną nagonkę na Żydów, nawet tam starano się przynajmniej publicznie używać eufemizmu „syjoniści”, by przykryć oczywisty antysemityzm, którego jednak wypadało się wstydić. Bo trzeba zaznaczyć, że w czasie bezpośrednio przed odzyskaniem i po odzyskaniu przez Polskę niepodległości na początku XX wieku antysemita sami tak siebie nazywali z dumą, ponieważ ten antysemityzm w ich pojęciu tożsamy był z patriotyzmem.

Po ponownym odzyskaniu niepodległości

w 1989 r. zniesienie cenzury w Polsce przywróciło wolność mówienia i pisania. Ta, jak się okazało, niestety, objęła także retorykę nienawiści. Wydawałoby się, że wraz z otwarciem Polski na Europę i jej wartości, wraz z wymianą kulturalną ze społeczeństwami bardziej tolerancyjnymi, jakie powstały tam po drugiej wojnie światowej, nienawiść rasowa, etniczna, religijna czy wobec osób o innej orientacji seksualnej nie ma prawa zaistnieć w naszym kraju. I w Polsce, podobnie jak w reszcie Europy, antysemityzm został uznany za coś, czego należy się wstydić. Tu drobna dygresja. Krytyki

politycznych decyzji państwa Izrael nie można utożsamiać z antysemityzmem, tak jak krytyka rządu polskiego nie ma nic wspólnego z antypolonizmem. Tak wyglądało to przez pierwsze lata III Rzeczypospolitej. Przez pewien czas, z pewnymi wyjątkami dotyczącymi środowisk skrajnych, mowa nienawiści była rzadka, prawie marginesowa, czasem nawet skrywana. Od kilku lat jesteśmy świadkami wybuchu nietolerancji wszelkiego typu, mowy nienawiści już bez zenady i bez hamulców. Znany dziennikarz telewizyjny mówi publicznie o Żydach „parchy”. Ale mowa nienawiści nie dotyczy tylko Żydów. Wysoki hierarcha Kościoła katolickiego głosi z ambony o „tęczowej zarazie”, stygmatyzując środowiska LGBT. Czołowy polityk oskarża uchodźców z Syrii o bycie roznościcielami chorób zakaźnych, co kojarzy się z napisem umieszczonym przez hitlerowskiego okupanta na bramie getta warszawskiego: „Obszar zagrożony tyfusem”. Na wrocławskim rynku wieszają się na szubienicach portrety polityków opozycji, a prokuratura umarza postępowanie, nie dopatrując się w tym akcie czynu zabronionego. Ogoleni i agresywni młodzi kibole maszerują ulicami miast, wykrzykując hasła rasistowskie i wykluczające ze wspólnoty polskiej wszystkich niebiałych i niekatolików, po czym witanii są na Jasnej Górze jako prawdziwi patrioci i wzorowi katolicy. Na jednym z plakatów eksponowanych przez nich i powielonych przez media widziałem portret Eligiusza Niewiadomskiego z podpisem: „Człowiek z zasadami”. Nikt z tych ludzi

nie ponosi jakichkolwiek konsekwencji, mimo iż polskie prawo zabrania mowy nienawiści. Rzeczniczka władz stwierdza, że nacjonalistycznych chuliganów, którzy napadli na niewinnych ludzi, nie popiera, ale ich rozumie. W auli AGH wobec rektorów wyższych uczelni dygnitarz państwowy najwyższej rangi odgrzewa wątpliwej jakości „dowcip” o mieszkańcach Afryki Środkowej, którzy pomimo wykształcenia na polskiej uczelni są ludożercami. Ludzie wyglądający inaczej z powodu koloru skóry są atakowani na ulicach. Jeśli ktoś jeszcze żywi wątpliwości co do przyzwolenia na rasizm i mowę nienawiści w dzisiejszej Polsce, odsyłam do przerażającej lektury „Brunatnej Księgi” – monitoringu prowadzonego przez Stowarzyszenie „Nigdy Więcej” mowy i czynów nienawiści:

http://www.nigdywiecej.org/docstation/com_docstation/172/brunatna_ksiega_2019_stowarzyszenia_nigdy_wiecej.pdf

Graffiti widoczne na niektórych murach głoszą, że Polska ma być tylko dla Polaków. W moim pojęciu Polakiem jest każdy, kto się nim czuje, bez względu na pochodzenie rasowe czy etniczne, kolor skóry, wyznanie czy orientację. Julian Tuwim niedługo powiedział: „Jestem Polakiem, bo tak mi się podoba”. Polska może też być krajem, w którym znaleźli schronienie i pracę ludzie przybyli z innych krajów. Kilkanaście milionów Polaków, w tym ja sam, żyje poza granicami Polski i nikt nas nie wygania ani nam nie ubliża. Pozwala nam się na podtrzymywanie tradycji polskich i jednocześnie

uważa za Kanadyjczyków, Amerykanów czy Australijczyków. Moim lekarzem rodzinnym jest Irakijczyk, wspomniały, miły człowiek i świetny fachowiec. Jego pacjentami są Polacy, jak również przedstawiciele wielu różnych nacji, koloru skóry czy wyznania. Myśmymy sami w niedawnej przeszłości byli uchodźcami i byliśmy przyjmowani z otwartymi rękami. Czy brak nam empatii w stosunku do tych, którym dziś trzeba pomóc? Chociażby z chrześcijańskiego nakazu postępowania jak dobry Samaritanin? Czy powinniśmy tolerować nienawiść wobec wszelkiej inności?

Zamordowanie Gabriela Narutowicza 97 lat temu jest przykładem tego, jak blisko jest od retoryki nienawiści do rękoczynów i morderstw motywowanych nienawiścią. Jakąkolwiek. Kończąc się rok zaczął się od morderstwa w Gdańsku, popełnionego w wyniku sztucznie podsycanej kampanii nienawiści. Do ilu jeszcze tragedii dopuści się, zanim ta część społeczeństwa, która nie reaguje na zło, przebudzi się, przestraszy sama siebie? Zrozumie, do czego może doprowadzić obojętność. W Trzeciej Rzeszy nienawiść stała się polityką państwową i zakończyła się takim wstrząsem, jakiego Niemcy nigdy w swojej historii wcześniej nie doznali. Nie chciałem, aby mój kraj ożył, moja Polska, musiał przechodzić wstrząs – ani wielkie, ani nawet małe. Niech rocznica tego, co wydarzyło się w Zachęcie w grudniu 1922 roku, stanowi dla nas wszystkich poważną przestrożę. Może jeszcze nie jest za późno.